

Miron Kołakowski

Wspomnienia osobiste o prawnikach piotrkowskich

Palestra 22/10(250), 49-56

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

inne akty resortowe o charakterze ogólnym. Powierzenie tego mechanizmu kontrolnego Ministrowi Sprawiedliwości daje pełną rękojmię poprawy stanu legislacji resortowej i jej całkowitej zgodności z aktami prawnymi wyższego rzędu, a także z zasadami polityki prawnej, mającej na celu społeczną skuteczność prawa.

W pracy Komisji Prac Ustawodawczych Sejmu na I półrocze 1978 r. widniał jeszcze temat o pierwszorzędnej wadze, a mianowicie omówienie działań zmierzających do kształtowania świadomości prawnej społeczeństwa. Temat, któremu należałoby poświęcić wiele stron. Zamieszczenie go w tych uwagach byłoby nie tylko nadużyciem cierpliwości czytelnika, ale przede wszystkim spływaniem zagadnienia szczególnie istotnego.

Dlatego na kanwie tego tematu wróć znowu do bardziej osobistych spostrzeżeń. Praca poselska, wyrażająca się m.in. w celowym, środowiskowo i konsekwentnie prowadzonym terenie, kontakcie z wyborcami, niesie w sobie także i ten aspekt, tj. pracę nad świadomością prawną społeczeństwa. I znowu nasuwa się tu skojarzenie wprost z pracą adwokata. W istocie swej formy, wyrażającej się w niesieniu pomocy prawnej, ma ona stały i bezpośredni wpływ na podnoszenie wiedzy prawnej ogółu obywateli, a publiczne oddziaływanie słowa mówionego przez adwokata ma znaczenie nie tylko dla klienta i orzeczenia zapadłego w jego sprawie. Niesie ono w sobie społeczny odzew, pobudza i utrwała świadomość prawną i kształtuje postawy ludzkie na sali sądowej i poza nią.

W ten sposób adwokatura znowu połączyła mi się w refleksjach z polityką.

MIRON KOŁAKOWSKI

Wspomnienia osobiste o prawnikach piotrkowskich

Z Piotrkowem Trybunalskim zetknąłem się po raz pierwszy, gdy jako młody chłopiec zamieszkałem z rodzicami i braćmi w tym mieście pod koniec 1924 r. Od razu zafrapowała mnie nazwa miasta. Złożona z dwóch wyrazów, brzmiała poważnie i nobliwie. Wzbudziła też zaraz moje zainteresowanie i skłoniła do poszukiwania jej wyjaśnienia. Ponieważ zawsze mnie zajmowały nauki humanistyczne z historią i naukami społecznymi na czele, starałem się rozszyfrować pochodzenie tajemniczej i niecodziennej nazwy. Pytania i lektury doprowadziły w końcu do odkrycia istnienia Trybunału Koronnego z sesjami w Piotrkowie i Lublinie oraz dla W. Księstwa Litwy w Wilnie. Poszukiwałem dalej siedziby samego Trybunału, interesowała mnie jego praca oraz znaczenie i w ten sposób doszedłem do zainteresowania się prawem, mechanizmem jego działania oraz ludźmi wprowadzającymi je w życie.

Jest znamienne, że w lokalizacji siedziby Trybunału w Piotrkowie udzielił mi pomocy znakomity krajoznawca, autor licznych opracowań książkowych i cennych wyjaśnień i odkryć w tej dziedzinie Michał Rawita-Witanowski, z zawodu farmaceuta, właściciel apteki na Placu Trybunalskim, mieszczącej się prawie naprzeciwko dawnego budynku Trybunału. Zbieg okoliczności sprawił, że M. Witanowski, niezwykle uczynny człowiek, pochodził z Częstochowy podobnie jak ja i osiedlił

się później na stałe w Piotrkowie. Wdzięczni piotrkowianie ufundowali po II wojnie światowej na domu, w którym mieszkał, tablicę pamiątkową dla uwiecznienia jego zasług dla miasta.

Moja przygoda „trybunalska” zaprowadziła mnie po ukończeniu gimnazjum na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, i to bez entuzjazmu ze strony mojego ojca, wybitnego pedagoga, który sam mając wykształcenie politechniczne (inż. chemik), ufając moim zdolnościom matematycznym, widział we mnie raczej studenta politechniki, a następnie *in spe* inżyniera. Trybunał Piotrkowski pokrzyżował te plany i spowodował skierowanie mnie na drogę zawodu prawniczego.

Kiedy już na uniwersytecie studiowałem historię dawnego prawa sądowego polskiego u prof. Rafacza, nimb Trybunału trochę osłabił, gdy dowiedziałem się o jego niedoskonałości oraz o trudnej i długiej walce o fachowość jego kadr, a zgoła nastąpił u mnie szok, gdy w jakiejś książce historyczno-obyczajowej (nie pamiętam dzisiaj ani jej tytułu, ani autora) przeczytałem o „świadkach piotrkowskich” jako synonimie fałszywych świadków. Bardzo mnie to zabolowało, gdyż rzucało cień na miasto, którego już zdążyłem stać się lokalnym patriotą. Szok nie trwał na szczęście długo, gdyż dowiedziałem się wkrótce, że w podobnym znaczeniu w Koronie czy na Litwie używano również określeń „świadków lubelskich czy wileńskich”. Zrozumiałem, że nie środowisko i moralność mieszkańców miasta decydowała o jego określeniu, ale fakt, iż tam właśnie odbywały się sesje sądowe najwyższej instancji Rzeczypospolitej w okresie przedrozbiorowym.

Ze stoickim zatem spokojem czytałem inne uwagi krytyczne o Trybunałach czy pozostałych innych sądach polskich, o uporczywej walce o podniesienie kwalifikacji sędziów, o złośliwościach na temat prokuratorów (czyli dzisiejszych adwokatów), późniejszych patronów tworzących pałastę trybunalską, itp.

Zacząłem niefrasobliwie i z uśmiechem odczytywać w „Dawnym procesie polskim” prof. Rafacza takie np. wiadomości, że deputatom Trybunału Głównego nie wolno było od 1669 r. brać udziału w zabawach i bankietach w czasie sprawowania przez nich urzędu.

Udoporniłem się na takie uwagi i nie mogły mnie one zrazić do prawa czy zawodów prawniczych, zwłaszcza że równocześnie u znakomitego historyka prawa prof. S. Estreichera w jego rozprawie pt. „Kultura prawnicza w Polsce XVI wieku” przeczytałem taką oto obronę prokuratorów (dzisiejszych adwokatów) przed XVI-wiecznymi atakami: „(...) nie należy chyba na samych prokuratorów składać winy za wymiar sprawiedliwości w sądach. Nie oni byli winni, jeżeli prawo było niejasne, sprzeczne ze sobą, partykularne, a największa część jego przepisów pozostała nigdy nie spisana. Nie oni też byli winni, jeśli sędziowie stosowali przepisy zbyt literalnie i formalistycznie, a mimo wszystkich składanych przysięg ulegali wpływom przyjaźni i nieprzyjaźni”. A kiedy jeszcze w starej pracy Bartłomieja Groickiego „Porządek sądów i spraw miejskich prawa magdeburskiego w Koronie Polskiej” przeczytałem pochwałę zawodu adwokackiego w takiej bardzo pochlebnej formie: „(...) prokuratorowie (adwokaci) są bardzo Rzeczypospolitej potrzebni i zawód ich jest uczciwy (...) są jakoby sądowi rycerze, albowiem jak rycerz waleczny pokoju pospolitego mieczem broni, tak prokurator dowcipem swoim sprawiedliwość mnoży, a niesprawiedliwość tłum” — to utwierdziłem się w obraniu przede mną słusznej drogi zawodowej.

Nic dziwnego, że po ukończeniu uniwersyteckich studiów prawa zdecydowałem się na wybór pracy w zawodzie adwokackim.

Aplikację adwokacką rozpocząłem na przełomie 1932/1933 r. w Piotrkowie Trybunalskim pod patronatem adwokata Jana Kobosa. Wszedłem od razu w piotrkowskie środowisko prawnicze, które mnie przyjaźnie przyjęło. Poznałem je dobrze

i przekonałem się, że reprezentowało ono godnie polską myśl i tradycje prawnicze.

Wrażenia, które snuję poniżej, są na pewno bardzo subiektywne. Zdaję sobie sprawę, że dzięki optymistycznemu charakterowi pamięci ludzkiej więcej zapamiętałem wrażeń przyjemnych niż przykrych. To jest niewątpliwie wada każdych wspomnień sprzed lat. Staram się jednak przedstawić ludzi i środowisko tak, jak je rzeczywiście pamiętam, nie zmieniając w niczym utrwalonych wrażeń. Muszę się liczyć także z tym, że jako młody adept wiedzy prawniczej dostałem się do środowiska ludzi starszych, doświadczonych, którzy w moich oczach byli autorytetami w dziedzinie prawa i takimi dla mnie w pamięci pozostali. To ma także swój wpływ na ton moich wspomnień.

Muszę się przyznać, że mój początek pracy w charakterze aplikanta adwokackiego nie był wcale łatwy. Zgodnie z obowiązującymi wówczas — zresztą krótko — przepisami nie musiałem kończyć najpierw aplikacji sądowej, lecz tylko 5-letnią adwokacką, zakończoną bardzo trudnym egzaminem w Radzie Adwokackiej w Warszawie. Faktycznie pracę aplikanta rozpocząłem już w listopadzie 1932 r., ale dopiero 12 maja 1933 r., po złożeniu ślubowania, zostałem formalnie wpisany na listę aplikantów adwokackich. W tych okolicznościach, kiedy zacząłem poruszać się po szerokich jasnych korytarzach sądów piotrkowskich, zwykle wezwanie sądowe było dla mnie nowością, a żargon prawniczy często niezrozumiały, księgi hipoteczne tajemnice, a akta sądowe opatrzone jakimiś dziwnymi zapiskami podobnymi do hieroglifów, wymagały cierpliwości i opanowania wielu praktycznych — w gruncie rzeczy dość prostych, jak się potem okazało — umiejętności.

Muszę przyznać, że będąc wtedy najmłodszym aplikantem, spotkałem się z dość powszechną życzliwością i uczynnością. Zarówno ze strony doświadczonych urzędników sądowych oraz sędziów, z którymi się stykałem, jak i wielu adwokatów. Te objawy przychylności spowodowały, że w niedługim czasie przestałem na terenie sądów być przysłowiowym „zagubionym dzieckiem we mgle”, stawałem się zaś powoli świadomym prawnikiem.

Obraz korytarzy i sal sądowych, po których poruszali się zahukani uczestnicy-strony procesów, ciągle się spieszący adwokaci czy też przechodzący obojętnie sędziowie lub prokuratorzy — stawał się dla mnie coraz bardziej czytelny. Ja zaś w niedługim czasie w tym wiecznym ruchu odnalazłem swoje miejsce i nabierałem naturalnej swobody zawodowej.

Zdobywałem ostrogi adwokackie. Zanim je uzyskałem, założyłem na dobre prawdziwe, a nie przenośne ostrogi do żołnierskich butów, gdy w październiku 1933 r. zostałem powołany na cały rok do odbycia służby wojskowej w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. A gdy po jej odbyciu w 1934 r. wróciłem znów do pracy aplikanta, poczułem, że służba wojskowa, ucząc mnie konieczności podejmowania szybkiej decyzji (rozkazu) oraz sprawnej organizacji i orientacji w sytuacji bieżącej, miała też swój dobry wpływ na rozwój zawodu. Wróciłem do dalszej pracy w Piotrkowie dojrzały i z nowym spojrzeniem na jej cel i sens.

Jeszcze bardziej się upewniłem po powrocie, że między poszczególnymi pionami prawniczymi: sądownictwem, adwokaturą, prokuraturą i notariatem panowała w Piotrkowie harmonia, wzajemny szacunek oraz zrozumienie. Życie towarzyskie było bujne i ożywione. Obserwowałem wysoką kulturę współżycia. A zainteresowania wykraczały poza zasięg zawodowych spraw.

Niech ilustracją takiego stanu rzeczy będzie taki oto drobny fakt. Prawie naprzeciwko gmachu sądów znajdował się znany lokal gastronomiczny p. Banaszewskiego. W tym lokalu w godzinach południowych był stale zarezerwowany duży stół, przy którym gromadzili się prawnicy wszystkich zawodów dla spożycia drugiego śniadania. Mój patron, mec. Kobos, wprowadził mnie do tego grona i mogłem zauważyć,

że przy stole nie mówiło się o sprawach zawodowych, ale dyskutowało na różne inne interesujące tematy: społeczne, kulturalne itp. Rozmowy były ożywione, dowcipne i błyskotliwe. Czasami dochodziło do kontrowersji, ale nikt z dyskutantów nie wykraczał poza granice kulturalnej wymiany poglądów. Kiedy dyskusja stawała się zbyt gorąca, zawsze znalazł się ktoś, kto dowcipem czy zręczną uwagą potrafił zmienić temat i rozładować napięcie.

Należy dodać, że Sąd Okręgowy w Piotrkowie Trybunalskim był terytorialnie największym sądem w tzw. Królestwie Kongresowym. Pracowali w nim wybitni prawnicy, czego najlepszym dowodem jest to, że z szeregów jego sędziów, prokuratorów czy adwokatów rekrutowali się po odzyskaniu niepodległości po I wojnie światowej sędziowie nowo utworzonego Sądu Najwyższego. Przykładowo przytoczę tu kilka nazwisk: pierwszym prezesem Sądu Najwyższego był Stanisław Szrednicki, a sędziami SN zostali potem Maksymilian Rudowski, Edward Rudnicki i sędzący jeszcze do niedawna Zbigniew Masłowski oraz wielu innych.

W Piotrkowie pracował też jako prokurator Kazimierz Rudnicki, szlachetny człowiek i znakomity przedstawiciel prawa polskiego. Przypominam sobie takie nazwiska wybitnych piotrkowskich sędziów i prokuratorów, jak Zygmunt Kwieciński, Henryk Angiewicz (ostatni przed II wojną światową prezes Sądu Okręgowego), zamordowany w niemieckim obozie koncentracyjnym, Daniel Tchorzewski, Henryk Izdebski, Jan Marczewski i wielu innych.

Oczywiście najlepiej poznałem środowisko adwokackie, które reprezentowało nie mniej wysoki poziom etyczny, zawodowy i kulturalny.

Mój piotrkowski patron mec. Kobos, dobry cywilista, specjalizujący się w prawie osobowym i rzeczowym, był troskliwym wychowawcą. Udzielał mi nie tylko rad prawnych, ale i praktycznych, dotyczących stosunku do klienta, o tym mianowicie, jak wyrobić w sobie samodzielność oraz orientację w stosowaniu prawa w życiu. Mając olbrzymią rutynę, potrafił pokazać, jak należy podejść nawet do pozornie złej sprawy i bronić interesów klienta, tak aby uzyskać to, co mu się należy. On mnie uczył, jak w prawie cywilnym nie można opierać się na jednym przepisie, ale ogarniać całość prawa.

Bliskim przyjacielem mego patrona był nestor adwokatury przedwojennej w Polsce mec. Dobrosław Kleyna. Wybitny adwokat, który wśród swoich osiągnięć miał udział udany w wielkich procesach cywilnych i karnych. Szczupły, średniego wzrostu, zawsze nienagannie ubrany, często z kwiatem w bułonce, elegancki w zachowaniu, o wysokim takcie i kulturze. W 1938/1939 obchodził jubileusz 60-letnia pracy w adwokaturze. Ja już wówczas kończyłem aplikację adwokacką w Częstochowie, ale otrzymałem jego uprzejme zaproszenie na tę uroczystość. Ponieważ odbywałem wtedy ćwiczenia wojskowe, nie mogłem być obecny na jubileuszu i dlatego przesałem tylko listowne życzenia. Na drugi czy trzeci dzień otrzymałem na kilku stronicach napisany odręczny list od jubilata w bardzo ciepłym tonie, zawiadamiający mnie m. in., że moje życzenia były odczytane na bankiecie i że bardzo go ucieszyły. List zawierał szereg informacji, serdecznych słów pod moim adresem oraz życzenia dla mnie.

Mec. Kleyna prowadził m. in. bardzo interesujący — i to z dużym sukcesem — proces cywilny o własność gruntów, na których był zbudowany Tomaszów Mazowiecki. Mimo podeszłego wieku występował on do śmierci w sądach, i to bardzo dobrze, opracowując sprawy starannie i przemawiając ładnym, choć trochę staroświeckim językiem polskim.

Razem z mec. Włodzimierzem Kańskim, świetnym karnikiem, mec. Kleyna brał udział przed pierwszą wojną światową w słynnym procesie Damazego Macocha i in. Oczywiście wiem o tym tylko z opowiadań i literatury. Jak mnie infor-

owano, obaj wspomniani obrońcy wygłosili wtedy znakomite krasomówczo przemówienia obrończe.

Mec. Włodzimierz Kański, ojciec mego kolegi i przyjaciela z okresu studiów uniwersyteckich, zmarły na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, poza prawniczymi miał szerokie zainteresowania muzyczne i literackie. Grał po wirtuożowsku na skrzypcach. O jego maestrii w grze najlepiej świadczy to, że był on partnerem słynnego i wielkiego polskiego skrzypka-artysty Brandta, znanego i popularnego na całym świecie.

Często w gmachu sądów spotykałem — spokojnie, ale energicznie wkraczającego na wielką, widną dwupiętrową salę rozpraw — szczupłego, przystojnego, średniego wzrostu mec. Czesława Różyckiego, który występował w dużych procesach karnych. Świetny obrońca. Mówił może trochę sucho, ale budował swe przemówienia bardzo precyzyjnie i z żelazną logiką. Po mistrzowsku operował materiałem faktycznym, a konstrukcję prawną opierał na bogatym orzecznictwie SN i subtelnej interpretacji przepisów. Jego syn, Janusz Różycki, do dzisiaj śladami ojca wykonuje w Piotrkowie zawód adwokacki.

Od mec. Różyckiego wiele można się było nauczyć w dziedzinie sztuki obrończej i dlatego my, aplikanci adwokacy, chętnie chodziliśmy na procesy, w których on występował. Tak samo spośród prokuratorów chętnie słuchaliśmy oskarżeń wnoszonych przez prok. H. Izdebskiego (później adwokata i radcy prawnego).

Przypominam sobie jeszcze dwóch adwokatów, których wystąpienia słuchane były z zainteresowaniem i odznaczały się nieprzeciętnym poziomem. Jeden z nich to mec. Nowachowicz, Polak pochodzenia karaimskiego. Przystojny, o orientalnym typie, przemawiał zwykle barwnie, z patosem, obrazowo, w stylu — jakbyśmy to dzisiaj określili — retro. Chętnie używał metafory i cytował literaturę piękną. Pamiętam, przysłuchiwałem się raz procesowi toczącemu się przeciwko 3 oskarżonym o wzięcie udziału w bójce w letnie popołudnie na bitej drodze. Jednego z oskarżonych bronił właśnie mec. Nowachowicz. Przypominam sobie, że gdy opisał on miejsce zajścia, to zrobił to tak sugestywnie, iż wydawało mi się, że czuję w nozdrzach kurz zwiewany wiatrem z drogi, a w oczach wyobraźni widziałem zakurzone krzaki przydrożne.

Drugi z nich, niepozorny, chodzący lekko rozkołysanym krokiem z wysoko uniesioną głową jakby dla dodania sobie wzrostu, mec. Wacław Walosiński wkładał w swe obrony pasję i zaangażowanie. Mówił z temperamentem, prosto i jasno wykładając swe racje. Obaj wymienieni mówili zawsze dobrym językiem polskim, choć bardzo różnym stylowo.

Wśród cywilistów, poza wymienionymi wyżej mec. mec. Kobosem i Kleyną, muszę wspomnieć dobrze zapamiętanych przeze mnie: Adama Pajewskiego, Bronisława Owczarka, Maurycego Lewita oraz Stanisława Silbersteina.

Mec. Pajewski, ojciec mego przyjaciela i czynnego do dzisiaj adwokata w Piotrkowie Wiesława Pajewskiego, był specjalistą w dziedzinie prawa zobowiązaniowego i prawa hipotecznego, jak wiadomo, bardzo skomplikowanego w b. Kongresówce. Umiał opracowywać ciekawe i zręczne wnioski hipoteczne i odznaczał się oryginalnością koncepcji prawnych, opartych na głębokiej wiedzy. Mec. Owczarek, rutynowany cywilista, o umyśle spekulatywnym i wielkiej pracowitości, wyrobił sobie dużą praktykę i był wśród klientów bardzo popularnym adwokatem. Mieszka do dzisiaj jako emerytowany adwokat w Piotrkowie. Mec. Lewit miał ukończone dwa fakultety: prawny i matematyczny. Tak różne studia dały mu w praktyce adwokackiej zdolność bardzo logicznego i ścisłego rozumowania i tworzenia znakomych koncepcji, których potrafił sugestywnie bronić. Zajmował się, o ile mi wiadomo, wyłącznie prawem cywilnym i po pobycie w Piotrkowie przeniósł się potem

do Warszawy. Mec. Silberstein specjalizował się w prawie cywilnym oraz handlowym i czekowym z wekslowym.

Kancelarię cywilną i karną prowadził mec. Feliks Jastrzębski, zmarły po ostatniej wojnie. Wygląd miał sarmacki, sumiasty wąs, a poruszał się żywo i energicznie. Bardzo ruchliwy, charakterystycznym ruchem prawej ręki w czasie rozmowy gładził wąsy i zasłaniał usta, jakby chciał przytłumić zbyt silny głos. Zwykł mawiać, że dobrym adwokatem można być wtedy, gdy się ma tubalny głos. A on właśnie takim tubalnym i silnym głosem dysponował.

Młodszy od wyżej wymienionych, ale starszy ode mnie byli zdolni i dobrzy adwokaci: Wincenty Szafnicki, Tadeusz Kępiński i Henryk Zylberberg. Pierwszy, zmarły po ostatniej wojnie, był prokurator, jako adwokat prowadził kancelarię ruchliwą, raczej karną, ale także i cywilną. Tadeusz Kępiński pracuje dotychczas jako adwokat w Łodzi. Henryk Zylberberg przed wybuchem II wojny światowej wyjechał na wystawę do Stanów Zjednoczonych i tam go zastał wybuch wojny. Pozostał więc i ustabilizował się w USA, zdał potrzebne egzaminy amerykańskie i pod nazwiskiem: Henry Mount otworzył kancelarię adwokacką. Podobno ma sporą praktykę, a specjalizował się w Polsce w prawie cywilnym i skarbowym. Po wojnie odwiedził nasz kraj.

Wśród mych rówieśników byli adeptami prawniczymi moi przyjaciele: Jan Woroniecki — obecnie adwokat w Radomsku, i Zbigniew Błotnicki — prokurator wojewódzki w Łodzi po wojnie, oraz przedwojenni aplikanci adwokacy: Teodor Gasiński, Wiesław Renke, Adolf Krowicki. Ostatni trzej, zdolni i wartościowi prawnicy, zginęli w czasie wojny. T. Gasiński zadreżony przez Niemców (bodaj w Majdanku), W. Renke, uczestnik powstania warszawskiego, wywieziony do obozu w Niemczech i tam zginął. A. Krowicki został zastrzelony w czasie okupacji przez Niemców. Jeszcze jeden z moich rówieśników prawników—przyjaciół Florian Kraśkiewicz, zaangażowany w ruchu oporu, aresztowany potem w Piotrkowie przez gestapo, został bestialsko i okrutnie zamordowany.

Omawiając wspomnieniowo międzywojenny świat prawniczy Piotrkowa, nie można pominąć jeszcze dwóch kategorii ludzi: obrońców sądowych oraz notariuszy.

Obrońcy sądowi rekrutowali się z ludzi, którzy nie mieli formalnych kwalifikacji adwokackich, ale ze względu na swoje przygotowanie zawodowe mieli prawo występowania przed sądami. Byli między nimi ludzie wybitni. Na przykład Antoni Byczkowski, jeden z najlepszych w b. Królestwie Kongresowym znawców prawa hipotecznego i rzeczowego, był człowiekiem wielkiej wiedzy i posiadał olbrzymią praktykę. Przyznam się, że korzystałem nierzadko z jego rad, których z życzliwością udzielał. Inni, jakich pamiętam, to p.p. Michał Egierski, Starosielec i Kępiński.

Ciekawymi postaciami byli niektórzy notariusze, tacy jak Władysław Piaszczyński czy Marian Byczkowski lub Feliks Kokczyński. Pierwszy był bardzo światłym człowiekiem, dużo czytającym, i to na bieżąco, literaturę społeczną w różnych językach. Pamiętam jego gorący i pełen temperamentu wywód na temat bestselleru francuskiego owych czasów „L'Europe tragique”. Była to w okresie szerzącego się hitleryzmu i ówczesnych totalizmów francuska biblia liberalizmu. P. Piaszczyński przy kawiarnianym stoliku bardzo ciekawie, choć i krytycznie relacjonował książkę. Widać, że rzecz poznał gruntownie i przeżywał ją oraz głęboko przemyślał, a przy tym opowiadał o niej bardzo lekko i dowcipnie. Takich z nim rozmów na różne tematy było wiele, zaciekały one i uczyły, dlatego też chętnie bywałem ich słuchaczem.

Po pracy w godzinach wieczornych prawnicy spotykali się w Piotrkowie w dwóch lokalach kawiarnianych. Jeden z nich na ul. Słowackiego (dawnej Kaliskiej), o ciemnym wnętrzu z drewnianymi boazeriami, należał do p. Borczyka. Ten dom

w pierwszych dniach wojny został zburzony bombami z samolotów niemieckich, choć w pobliżu żadnego celu wojskowego nie było. Drugą kawiarnią była „Krakowska” p. Meliana na placu Kościuszki — duży, jasny lokal. Obie były ulubione jako miejsca wieczornych i popołudniowych spotkań prawników.

Spośród notariuszy zupełnym przeciwieństwem p. Piaszczyńskiego był p. Byczkowski. Wesoły, dowcipny, o dużym poczuciu humoru, lubiący się zabawić. Opowiadano o nim, iż kiedyś w konkretnej rozmowie na tematy finansowe oraz o kursach akcji powiedział od niechcienia, że zna dużo lepszy sposób lokaty pieniędzy aniżeli kupowanie akcji. Kiedy go zapytano, w czym on lokuje pieniądze, odpowiedział z poważną miną: „we wspomnieniach”. Najciekawsze, że chyba to była prawda.

P. Feliks Kokczyński był człowiekiem poważnym i raczej mało mównym — naturalnie według moich obserwacji.

Synowie obu ostatnio wymienionych notariuszy ukończyli także prawo i byli moimi młodszymi kolegami. Jan Byczkowski zginął bohaterską śmiercią w powstaniu warszawskim, a Antoni Kokczyński pracował w czasie wojny w służbie zagranicznej, a teraz podobno przebywa w Londynie.

Na chwałę środowiska prawniczego Piotrkowa trzeba jeszcze przypomnieć, że nie zasklepiało się ono w sprawach ściśle zawodowych. Przedstawiciele jego brali czynny udział w życiu kulturalnym miasta. Wielu prawników było zapamiętałymi odbiorcami i czytelnikami literatury pięknej i naukowej. Na bieżąco zapoznawali się z literaturą historyczną, społeczną, pasjonowała ich psychologia i socjologia. Wielu pracowało czynnie społecznie. Przykładem był tu Patronat opieki nad więźniami. Prowadzono za jego pośrednictwem akcję kształcenia więźniów. Wiem o tym, gdyż i mnie do tej akcji wciągnięto. I ja, i inni młodzi oraz starsi prawnicy prowadziliśmy liczne wykłady dla więźniów. Przewodniczącą patronatu była p. Płówecka, żona prokuratora okręgowego. Do zarządu wchodziłi inni prawnicy różnych zawodów.

Intensywna działalność kulturalna przybierała postać znanych z tradycji XIX-wiecznych w Polsce salonów artystycznych. Wiem o 2 takich salonach muzycznych. Jeden u mec. Kańskiego, a drugi u sędziego Lermontowa. Pamiętam, że w tym drugim słyszałem po raz pierwszy w życiu słynnego i znakomitego pianistę francuskiego Roberta Casadessus. Przypominam sobie także, że utalentowanym pianistą wśród adwokatów był mec. Alfred Kon, zamordowany przez Niemców w Warszawie.

Dzięki temu szerokiemu wachlarzowi zainteresowań nie spostrzegało się u prawników piotrkowskich tak niebezpiecznego dla inteligencji skostnienia zawodowego. Ich horyzonty myślowe, ich praca społeczna wpływały ożywczo na atmosferę i rozwój kultury miasta i całego okręgu.

Wspominając o kolegach prawnikach z Piotrkowa, nie mogę pominąć jeszcze kilku z nich, chociaż nie podjęli oni pracy ani w sądownictwie, ani adwokaturze. Jednym z nich jest minister Janusz Wieczorek z Prezydium Rady Ministrów, przewodniczący Rady Ochrony Pomników Pamięci Walk i Męczeństwa w Polsce. Jak mi wiadomo, do Piotrkowa odnosi się on zawsze z sympatią i serdecznie wspomina lata w nim spędzone. Drugi, z którym byłem zaprzyjaźniony, to Antoni Maszewski. Ukończył gimnazjum w Piotrkowie, a prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Przed wojną był znanym i wybitnym sportowcem-lekkoatletą (średnie dystanse i skok w dal), reprezentował Polskę na olimpiadzie. Po studiach wstąpił do zawodowej służby wojskowej. Walczył w czasie drugiej wojny najpierw we wrześniu w Polsce, a następnie brał udział w kampanii włoskiej pod Monte Cassino, a potem, prowadząc pod Ankoną swój oddział do ataku na pozycje niemieckie, poległ śmiercią bohaterską. W licznych pamiętnikach i reportażach z II wojny światowej jest

opis jego żołnierskiej śmierci (np. u Wańkowicza, u dra Majewskiego i wielu innych).

Na koniec dodam, że prawnikiem i kolegą jest także działający dotychczas w Piotrkowie Tadeusz Nowakowski, były dyrektor Fabryki Maszyn Górniczych, b. poseł na Sejm, członek egzekutywy KW PZPR i przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Piotrkowie. Będąc zapalonym działaczem społecznym, jest motorem licznych inicjatyw w Piotrkowie. Dla przykładu: był inicjatorem postawienia pomnika Kopernika, a także zainicjował obecne Obchody 400-lecia utworzenia Trybunału Koronnego w Piotrkowie Trybunalskim.

Szczególną satysfakcję sprawiła mi wiadomość, że w ostatnich wyborach do Sejmu przeprowadzonych 21 marca 1976 r. jednym z posłów okręgu wyborczego Nr 48 w Piotrkowie Trybunalskim została mec. Maria Budzanowska, członek piotrkowskiego Zespołu Adwokackiego, satysfakcję tym większą, że będąc na szóstym miejscu na liście kandydatów Frontu Jedności Narodu (okręg ten wybierał ośmiu posłów), uzyskała spośród wszystkich kandydatów największą liczbę ważnie oddanych głosów. Fakt ten wymownie świadczy o autorytecie adwokata Budzanowskiej wśród wyborców i o wyróżniającym się kredycie zaufania, jakim się cieszy w społeczeństwie. Aby tym oczekiwaniom sprostać, poseł-mecenas Budzanowska podjęła odpowiedzialne obowiązki zastępcy przewodniczącego Komisji Spraw Ustawodawczych Sejmu.

Muszę przyznać, że sam jestem wprawdzie częstochowianinem z urodzenia i w Częstochowie kończyłem aplikację adwokacką oraz tam również wykonuję zawód adwokata, ale zawsze z sentymentem i serdecznością wspominam lata spędzone w Piotrkowie, jego świat prawniczy okresu międzywojennego, atmosferę, zabytki, architekturę, a nawet jego spokojny nastrój, czasami robiący wrażenie senności.

Obecnie, jakby zgodnie z moimi sympatiami, powstała w Częstochowie Wojewódzka Izba Adwokacka, obejmująca swoim zasięgiem województwo częstochowskie i piotrkowskie. Mam nadzieję, że może w tej dziedzinie powstanie integracja obu bliskich mi regionów i ośrodków adwokackich, z którymi jestem związany uczuciowo wyszkoleniem zawodowym oraz koneksjami koleżeńskimi.

Nie umiem sobie dokładnie uświadomić, co jest najważniejszą przyczyną mego sentymentu do Piotrkowa Trybunalskiego. Może wypływa to stąd, że właśnie w Piotrkowie spędziłem lata wczesnej młodości, a może stąd, że tam powziąłem świadomą i jasną decyzję poświęcenia się zawodowi adwokackiemu. A decyzji tej nigdy nie żałowałem. A może przyczyną są obie te rzeczy razem wzięte!

JAN WORONIECKI

Mord polityczny w Piotrkowie

Owiany mitem niezłomnego bojownika socjalistycznego o niepodległość, mitem Sybiru i niemieckiego więzienia w Magdeburgu, Józef Piłsudski, otoczony grupą osób zdecydowanych i politycznie operatywnych, dokonuje w maju 1926 r. udane-